

Na marginesie Nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk

Mamy powód do świętowania: kolejny polski autor trafił w poczet laureatów literackiej Nagrody Nobla. Tym razem jest to Olga Tokarczuk, która w tym roku została uhonorowana najwyższym wyrazem uznania wspólnie z austriackim powieściopisarzem i tłumaczem, Peterem Handkem. Historia nagrody zna oczywiście takie przypadki, kiedy to jednego roku odznacza się aż dwóch autorów. Dość wspomnieć, że w 1917 roku duński prozaik naturalista Karl Gjellerup otrzymał Nobla wspólnie ze swoim rodakiem Henrikiem Pontoppidanem, twórcą nawołującym w swych dziełach do poprawy doli chłopów. Nie jest to jednak szczególnie istotne. Dzisiaj najważniejsze jest bowiem to, że po raz kolejny polska kultura została uznana za przestrzeń, w której rodzą się dzieła rangi światowej. To ogromnie cieszy.

Jednocześnie przyznam, że nie należę do wielkich entuzjastów twórczości Tokarczuk. Zwłaszcza pojęcie o religijności i sacrum, dwóch częstych tematach dzieł polskiej pisarki, zostało przez nią, jak sądzę, ulepione z uprzedzeń, stereotypów i projekcji, tworząc tym samym efektowną w swej groteskowości, ale ostatecznie dość naiwną i mało kreatywną wizję. W każdym razie nie taką, której można by się spodziewać po autorce nader „światłej”. Widać to zwłaszcza na przykładzie powieści *Prowadź swój pług przez kości umar-*

łych. W tym metafizycznym dreszczowcu ze szczególną siłą ujawnia się doceniona przez komisję noblowską gotowość do „postrzegania rzeczywistości nie jako czegoś stałego i danego raz na zawsze”. Jest w niej również czujność na zaistniały „konflikt pomiędzy naturą i kulturą, rozsądkiem i szaleństwem”. I rzeczywiście, trudno nie dostrzec w *Prowadź swój pług...* próby powrotu do pierwotnej mistyki natury i człowieka, owego pogańskiego irracjonalizmu, który ujawnia się w najbardziej ekstatycznych stanach ducha, a wybucha niepowstrzymaną siłą, dąży do przekroczenia granic w imię życia i nie godzi się na narzucony przez kulturę katolicką dyktat porządku i rozumu. Tokarczuk upodobała sobie „przekraczanie granic jako formę życia” – i jest to pięknie i czysto wybrzmiewający ideał. Czyż nie o to samo chodziło Romainowi Rollandowi albo Hermannowi Hessemu? Tutaj pojawia się jednak pewien problem: o ile zaciągnąłem wobec Rollanda i Hessego dożgonny dług wdzięczności (przede wszystkim zawdzięczam im inspirację do „pozostawiania umysłu otwartym”), o tyle – niech mi zostanie wybaczone – nigdy nie miałem przekonania, że piarstwem Tokarczuk kieruje ta sama „humanistyczna szlachetność oraz uczciwość”. Zamiast tego mamy u niej poetycką fantazję, a ściślej – celne koniunkturalnie, lecz naiwnie wykreowane różne warianty przekraczania tej czy owej ramy tożsamościowej, aby dać się ponieść przez fale „płynnej” i „nieokreślonej” (a może po prostu zmyślonej i życzeniowej) rzeczywistości.

Członkowie Akademii Szwedzkiej zwrócili szczególną uwagę na *Prawiek i inne czasy*. I trudno się temu dziwić. To bodaj najwybitniejsze osiągnięcie autorki wciąż zachwyca umiejętnością budowania „prywatnych mitologii”, małego świata, w którym każdy codzienny szczegół i każda zwyczajność zyskuje symboliczne czy wręcz archetypiczne znaczenie. Miałem jednak to szczęście, że *Prawiek* czytałem niemal równocześnie z – pod pewnymi względami podobnymi – *Fragmentami z życia lustra* Joanny Szczepkowskiej. Pamiętam, że pomimo świadomości ogromnego kunsztu i talentu Tokarczuk moje sympatie niemal instynktownie stanęły po stronie elegancji i bezpretensjonalności, z jaką Szczepkowska skonstruowała swój niby to znajomy, a jednak na każdym kroku dziwny, chorowity i koślawy świat. Z drugiej strony uniwersum *Prawieku* jest być może bardziej magiczne i uwodzicielskie, mocniej przyciągające tajemnicą skrytą za powszednią szarżyną, a dostępną tylko dla wnikliwych i patrzących inaczej. Lecz oto kolejny ciekawy przypadek: stosunkowo niedawno miałem przyjemność czytać *Tam, gdzie ptak śpiewa najlepiej* Alejandra Jodorowsky’ego, pisarza i filmowca, mistrza surrealizmu i realizmu magicznego. Lektura wyjątkowo trudna dla osób religijnych, czasem wręcz niebezpieczna (kto widział *Świętą górę* albo *Kreta*, ten może sobie wyobrazić, co mam na myśli), ale jakże głęboka, szczerą i fascynującą – niech zatem nikomu nie przyjdzie na myśl, że moja osobista rezerwa w ocenie powie-

ści Tokarczuk motywowana jest li tylko nieufnością autorki wobec wyznania wiary, które co niedziela sam powtarzam. Wręcz przeciwnie, cenię Jodorowsky’ego, ten zaś opisuje bunt wobec religii, który naznaczył jego rodzinę, wszystkie te walczące z Jahwe babki i ciotki, jak również jego osobiste poszukiwania duchowe i mistyczne, kontakty z duchami i wyższymi hipostazami własnego „ja”. Lecz *Tam, gdzie ptak śpiewa najlepiej* ujmuje rozdzierającą uczciwością w ujęciu konfliktu między „przekraczającą formą życia” a tradycją, synagogą czy Kościołem. Zamykając tę powieść, pozostajemy z poczuciem realnego wejścia w głąb doświadczenia zerwania z religią objawioną, aby zaufać człowiekowi, który objawienie snuje sam z siebie. Oto znacząca różnica.

Aby jednak nie pozostawiać czytelników z mylnym wrażeniem, jakoby literacka Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk nie cieszyła mnie wcale, muszę przyznać, że pod względem czegoś, co można nazwać „kreacjami języka”, jest ona (i chyba zawsze była) autorką o specyficznej wrażliwości twórczej. Znaczenie *Prawieku* czy *Prowadź swój pług...* dla kultury polskiej jest zresztą takie, że Tokarczuk potrafiła zagospodarować na naszej rodzimej niwie realizm magiczny czy nowoczesny skandynawski kryminał, czyli gatunki dobrze znane w świecie, a u nas spóźnione. Powtórzę też to, o czym wspominałem na początku: mój dystans w stosunku do książek tej pisarki wcale nie oznacza, że nie potrafię w niej dostrzec twórczyni o znakomitym warsztacie artystycznym.

Cieszę się z Nobla dla Tokarczuk, tej autorki mogącej stanąć w szranki z najpoczytniejszymi przedstawicielami modnej literatury europejskiej, a jednocześnie z ogromną nadzieją oczekuję, że w poczet polskich laureatów trafi kiedyś Wiesław Myśliwski albo (i owszem) Adam Zagajewski. ■

Michał Gołębowski

Krótką uwagę o mowie noblowskiej Olgi Tokarczuk

Mowę noblowską Olgi Tokarczuk warto przeczytać jako źródło – określające pewne myślenie i promieniujące nim co najmniej na tych, którzy obecnie będą „myśleli tak samo”. Co tam wyczytałem? Kilka uwag na gorąco. To oczywiście nie dziwne, że pisarka mówi o znaczeniu opowieści – ale znaczące, że ustawia opowieść na poziomie czynnika stawiania się rzeczy. Ich powstawania, trwania – zapewne też ich zbawiania. Widzę tu opowieść o narracji jako swoistej „teologii bajecznej” – z tym że będąc opowieścią postchrześcijańską, nie może to być po prostu wskrzeszona stara teologia mityczna. Autorka nie ukrywa tęsknoty do mitu (to zresztą bardzo ludzki nerw jej zwierzeń), ale nie wskrzesi już tego, co było jego mocą. Jej mit musi mieszkać w serialu, a tragedia mitu musi osunąć się w surrealizm. Chodzi więc o pewien sposób snucia literackiego „objawienia” – lecz pozbawionego boskości.

Trudno jest znaleźć inny fundament, dlatego mamy w tej mowie zrozumiałą rozterkę: chciałoby się nadal eksplorować możliwości scjentyzmu, ale wie się dobrze, że to nie prowadzi daleko. Język scjentyzmu pozostanie więc może językiem polemiki z religią. Lecz do snucia opowieści nowego świata (jakże charakterystyczna jest ta żądza nieugaszona stworzenia „nowej opowieści”!) potrzeba czegoś innego. Tokarczuk mówi o czułości – ale przecież wie, że ten apel padał już wiele razy i umierał już nie raz, sentymentalnie i romantycznie. Dlatego ciekawsze wydaje się przejście od czułości do jej zakulisowego gwaranta: „czwartoosobowego narratora”.

Nie zaskakuje to, że jedyną jego ekspozycją są nawiązania do mowy Biblii. Myślę, że niektórzy chrześcijańscy odbiorcy przemówienia przetrą w tym miejscu lę wzruszenia, poczują, jakby się z autorką spotkali na wysokościach. Ale sądzę, że to mocno przedwczesne lub nietrafione reakcje. Noblistka za czymś tęskni, lecz odpowiedź, z którą do niej idziemy na głos Pisma, nie jest tym, czego szuka i pragnie. Żadnych złudzeń. ■

Paweł Milcarek

Liturgie feministyczne, czyli jak otworzyć, aby zatrzasnąć na amen

Niedawno przeczytałem wydaną przez benedyktyńskie wydawnictwo The Liturgical Press książkę Janet R. Walton pt. *Feminist Liturgy: A Matter of Justice* (Col-